

Przegląd Wileński

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KRAJOWYM

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:

Wilno, Uniwersytecka № 9 m. 9.

Czynne od g. 1 — 3 prócz świąt.

CENA OGŁOSZEŃ: 1/1 strona — 80 zł.

1/2 " — 40 "

1/4 " — 20 "

1/8 " — 10 "

Prenumerata kwartalna wynosi 1 zł. 50 gr.

O prawa historyczne.

Okrojowanie przez rząd litewski nowej konstytucji, zawierającej między innymi artykuł, że stolicą republiki litewskiej jest Wilno — wywołało w prasie polskiej takie same podniecenie, jakie obserwowaliśmy przed kilku laty po zajęciu przez Litwę Kłajpedy. Najbardziej pochopna do ogłaszania groźnych manifestów papierowych „Myśl Niepodległa” swój artykuł na ten temat zakończyła następującym zagadkowym ostrzeżeniem: „Polska, gdy zechce, potrafi się obejść bez międzynarodowego pogotowia ratunkowego i we własnym lamusie posiada szczyptę do wyjmowania różnych drzazg w sposób całkiem pokojowy, lecz temniemniej bardzo dotkliwy — nie dla niej”. Jaki to ma być sposób — bliżej tego „Myśl Niepodległa” nie wyjaśnia. Inne pisma warszawskie przemawiają w podobnym tonie, co zresztą, zdaje się, nie sprawia żadnego wrażenia w Kownie, które z przysłowiowym uporem litewskim trwa niezłomnie na swym stanowisku nie uznawania przynależności Wilna do państwa polskiego.

W gruncie rzeczy nie rozumiemy dlaczego zamieszczenie artykułu o Wilnie w konstytucji, narzuconej przez rząd obecny narodowi litewskiemu ma posiadać większe znaczenie prawno-polityczne, niż wielokrotne uchwały analogiczne sejmów litewskich, wyrażających niewątpliwie wolę całej ludności państwa, a w każdym razie ogromnej jej większości? Jeżeli więc rząd polski znosił — jak się wyraził ks. Sapieha — z *dobroduszną cierpliwą* dotychczasowe postępowanie rządu litewskiego, to nie pozostaje mu nic innego jak i nadal trzymać się tej samej taktyki, bo i cóż zresztą innego może uczynić? Albo znosić cierpliwie, albo ustąpić, albo wystosować ultimatum, wyciągając zeń wszelkie konsekwencje, czyli decydując się na rozpoczęcie kroków zbrojnych. Ponieważ dwie ostat-

nie ewentualności są nieprawdopodobne, pozostaje jedynie pierwsza, co było z góry do przewidzenia i wobec której hałaśliwa kampanja prasowa, wszczęta przez organy warszawskie była conajmniej śmieszna i zbyteczna.

Trzeba przyznać, że najbardziej wojowniczo usposobione dawniej pisma wileńskie „Słowo” i „Kurier Wil.” potrafiły zachować w danym wypadku zimną krew i zamiast pustych pogroźek zajęły się roztrząsaniem o wiele bardziej poważnego zagadnienia, jedynego właściwie, które może doprowadzić w przyszłości do rozwiązania kwestji wileńskiej, a mianowicie, kto może rościć prawo do Wilna, jako stolicy b. W. Ks. Litewskiego? Dotychczas bowiem w zatargu o Wilno przesłanki historyczne ze strony publicystyki polskiej były albo całkiem pomijane, albo interpretowane najzupełniej opacznie w myśl popularnej, lecz dalekiej od prawdy dziejowej tezy o odwiecznej przynależności Wilna do swej „macierzy” — Polski.

P. Cat w „Słowie” obecnie ujmuje rzecz głębiej i pod humorystycznym tytułem „Mianujmy starostę żmudzkiego” propaguje myśl, że nie Kowno do Wilna może zgłaszać swe historyczne pretensje, lecz natomiast Wilno do Kowna, a ponieważ Wilno należy do Polski, więc rząd polski ma prawo w jego imieniu, niejako domagać się całego terytorjum b. W. Ks. Litewskiego.

Wniosek swój p. Cat opiera na następujących założeniach:

„Republika Kowieńska w żadnym wypadku nie może być uważana za sukcesorkę dawnego Wielkiego Księstwa. Nikt np. nie zaprzecza, iż dzisiejsza Rzeczpospolita polska jest prawną sukcesorką dawnego państwa polskiego, ale nie można tej analogji stosować do dzisiejszej Litwy Kowieńskiej i dawnego Wielkiego Księstwa. Nie wytrzymuje to żadnej kry-

tyki i prof. Voldemaras, jako profesor historii i jako prawnik, sam sobie zdaje z tego sprawę.

Prawnego sukcesora dawne wielkie Księstwo nie posiada, może być tylko mowa o sukcesji politycznej, o sukcesji idei Wielkiego Księstwa. Otóż sukcesję idei Wielkiego Księstwa może piastować tylko ten, kto 1) może ją zrealizować, 2) najbardziej tej idei jest zbliżony. Pan Voldemaras sam się niejednokrotnie wyrzekł z inicjatywy własnej, dobro wolnie, idei zespolenia wszystkich terytoriów dawnego Wielkiego Księstwa. Wobec Litwy historycznej pan Voldemaras jest renegatem”.

Bardzo słusznie p. Cat podkreśla, że dawne W. Ks. Litewskie nie posiada prawnego sukcesora i że może być mowa tylko o sukcesji idei państwowej wielko-litewskiej. Otóż powstaje pytanie, kto posiada największe kwalifikacje po temu, by tę ideę godnie reprezentować i ewentualnie wcielić ją w życie w bliższej lub dalszej przyszłości?

Teoretycznie rzecz biorąc, niewątpliwie rola ta „z wieku i urzędu” przypada Wilnu i szlachcie litewsko-białoruskiej, której przodkowie w odległej przeszłości byli współtwórcami i organizatorami tego państwa, a chociaż później je zaprzepaścili i pogrzebali, do ostatnich jednak czasów pielegnowali niewygasłe do reszty tradycje historyczne, zachowując niezmienny sentyment dla zewnętrznego ich symbolu — Pogoni.

Ale dzisiejszych potomków Radziwiłłów i Sapiehów nic już z Wilnem i Litwą nie wiąże, potomkowie Narbuttów, Kociellów, Sulistrowskich, Wołłowiczów, Chrapowickich i t. d., którzy jeszcze podczas insurekcji Kościuszkowskiej proklamowali „Akt powstania Narodu Litewskiego” i organizowali odrębną Radę Najwyższą W. Ks. Litewskiego — zdobyć się dziś mogą najwyżej na utworzenie Komitetu Obrony Kre-

sów“, Wilno zaś, ongiś stolica niezależnego państwa, a potem przez długi czas rywalizujące z Krakowem o równorzędne stanowisko w połączonej Rzeczypospolitej, obecnie za wielki zaszczyt dla siebie uważa, jeżeli Warszawa raczy je traktować z nieco większym respektem, niż Piotrków lub Radom.

Gdzie więc są ci Polacy litewscy, którzyby chcieliby wzniesić sztandar z Pogonią, którymby na sercu leżało odbudowanie W. Ks. Litewskiego? —

P. Okulicz, przemawiając na sejmowej komisji Spraw Zagranicznych i krytykując stanowisko nacjonalistyczne rządu litewskiego, podkreślił, że „ze strony polskiej zarówno w działaniach kierowników polityki zagranicznej jak w enuncjacjach przedstawicieli społeczeństwa oraz w literaturze politycznej czyniono pewne w tym kierunku wysiłki i propozycje“. Szkoda że p. Okulicz poprzestał na tak ogólnikowym twierdzeniu, nie przytaczając na jego poparcie żadnych danych konkretnych, bo niestety przebiegając myślą lata powojenne nie możemy ani rusz przypomnieć sobie ani jednego podobnego momentu.

Raz tylko ze strony polskiej wymieniona została oficjalnie nazwa W. Ks. Litewskiego. Tym historycznym dokumentem była odezwa J. Piłsudskiego po zajęciu Wilna w r. 1919, zapewniająca mieszkańcom b. W. Ks. Lit. możliwość wypowiedzenia się swobodnego co do swych dążeń i potrzeb. Ale nim ludność zdążyła zorientować się w wytworzonej sytuacji, na widownię wypłynął Zarząd Cywilny *Ziem Wschodnich*, który, jak sama nazwa wskazuje, daleki był od jakichkolwiek tendencji państwowotwórczych na gruncie tradycji historycznych. Od tej chwili „Ziemie Wschodnie“ i „Kresy“ w terminologii urzędowej i politycznej zapanowały niepodzielnie, jeśli nie liczyć krótkiego okresu Litwy Środkowej — tego nowotworu językowego równie dziwaczного, jak jego treść. Ale

Legendy wileńskie w świetle krytyki historycznej.

Prof. K. Chodynicki w ostatnich czasach zajął się krytycznym zbadaniem legend wileńskich, opartych na tle religijnym. Obalwszy legendę o 14 męczennikach franciszkańskich, z czego zdawaliśmy sprawę na tem miejscu w roku ubiegłym, obecnie w ostatnim (13) zeszycie „Ateneum wileńskiego“ podał krytycznej analizie legendę o trzech wyznawcach wiary prawosławnej, rzekomo umęczonych z rozkazu Olgerda i tu również doszedł do wniosku, że całe to podanie jest wytworem fantazji kronikarzy moskiewskich z XVI wieku. Dowody, przytoczone przez sz. profesora są istotnie przekonujące i nie pozostawiają żadnej wątpliwości, że legenda nie ma podstaw historycznych.

Najpoważniejszym argumentem przeciwko autentyczności męczeństwa owych trzech prawosławnych dworzan Olgerda jest fakt, że nie wspominają o niem wcale ani kroniki litewskie ani współczesne latopi-

sy nowogrodzkie i pskowskie. Ani jedna redakcja, nawet najobszerniejszych latopisów W. Ks. Litewskiego nie podaje o tem zupełnie wzmianki. Przypuszczenie, że może to pochodzić z tendencyjnego przemilczania jest zupełnie nieuzasadnione, ponieważ kroniki litewskie bynajmniej nie ukrywają swej sympatii do wyznania grecko-wschodniego. Dziejopisarstwo litewskie nie miało powodu zataić faktu śmierci pierwszych męczenników za wiarę prawosławną. Przeciwnie w latopisach ruskich mamy wzmianki o świętych prawosławnych, oraz rozmaite, a często balamutne wiadomości o przechodzeniu książąt litewskich na prawosławie. Podobne fakty nie są zupełnie ukrywane, przeciwnie opowiada się o nich z całym uznaniem. Pominiecie więc milczeniem tak wybitnego wydarzenia, jak męczeństwo trzech wyznawców cerkwi grecko-wschodniej, może świadczyć tylko o jednym, a mianowicie, że nie było ono zupełnie znane autorom kroniki.

Pierwsza wiadomość o tym wypadku ukazuje się dopiero w dziejopisarstwie Rusi Moskiewskiej. Najkrótszą wzmiankę znajdujemy w latopisie Jermolińskim z początku XVI czy końca XV w. tej treści: „Togo że leta ubijen byst' ot Olgerda Kruglec, na-

czyż można się dziwić lekceważeniu przez Warszawę przeszłości dziejowej Wilna i ziem litewsko białoruskich, gdy samo Wilno oraz najbardziej tu skupiony żywioł polski nie wykazały ani odrobiny poczucia samodzielnności, najmniejszego przywiązania do swych tradycji historycznych, żadnych ambicji odegrania roli państwowotwórczej?

Jeżeli więc jest już mowa o renegatach idei W. Ks. Litewskiego, to na epitet ten zasługuje nie prof. Voldemaras, dla którego ta idea musi być jeszcze nowością, ale właśnie ci przedstawiciele miejscowego społeczeństwa polskiego, którzy ją oddziedziczyli po swych przodkach i od dzieciństwa oddychali jej atmosferą, a którzy ostentacyjnie jej się wyparli i w niepojętym szale podeptali swe godło herbowe!

P. Cat zarzuca prof. Voldemarasowi, że ten nie jednokrotnie dobrowolnie się wyrzekł idei zespolenia wszystkich terytoriów dawnego W. Ks. Litewskiego. Zarzut co najmniej dziwny, zważywszy na obszerną relację, zamieszczoną w temże „Słowie” o imperialistycznych, daleko sięgających planach rządzącego obecnie obozu w republice litewskiej. (Ob. artykuł „Ci, co Wilna chcą”). Niewątpliwie prof. Voldemaras musi być nader powściągliwy w swych wyurzeniach na ten temat, bo łatwo może być posądzony o zakusy zaborcze, co oczywiście bardzo osłabiłoby jego pozycję. Nie trzeba przecie zapominać o Białorusinach i ich aspiracjach narodowo-państwowych. Ale tylko człowiek uprzedzony i zaślepiiony niechęcią może utrzymywać, jak to czyni p. Okulicz, że nacjonalizm litewski po wsze czasy będą cechowały skrajną wyłączość i ciasnota pojęć. Na naszych oczach przecież odbywa się wyraźna ewolucja myśli politycznej litewskiej.

Jeszcze nie tak dawno inteligencja litewska nie zdradzała żadnego zainteresowania dla przeszłości

swjej ojczyzny w długim okresie wspólnego jej bytowania państwowego z Polską. Czasy pogańskie, ostatecznie rządy W. Ks. Witolda—to była epoka, poza którą nie sięgało pióro litewskiego badacza, poety, publicysty. Historia Litwy od czasu unji z Polską dla nacjonalisty litewskiego nie istniała, była traktowana z płytką pogardą, niejako bojkotowana. Co nie było ubrane w szatę językową litewską, to nie zasługiwało na uwagę. Jakże wiele się zmieniło w psychice wykształconego Litwina od czasu pamiętnego „sejmu wileńskiego” w r. 1905, na którym po raz pierwszy zostały sformułowane wyraźnie postulaty narodowo-polityczne litewskie! Czy było do pomyślenia wówczas uczczenie pamięci Janusza Radziwiłły, wybitnego separatysty litewskiego, ale Polaka z języka i kultury? Drobiazg, ale jakże niezmiernie charakterystyczny! Uniwersytet kowieński wydaje dziś swym nakładem pracę o Józefie Oleszkiewiczu, mistyku i malarzu polskim, chociaż pochodzenia litewskiego. Na czele uniwersytetu kowieńskiego staje człowiek, który, jak dotąd, więcej zdziałał na polu kulturalnym polskim, niż litewskim. Brak miejsca nie pozwala wyliczyć szeregu przykładów, wskazujących wymownie stopniową ewolucję nacjonalizmu litewskiego w kierunku idei państwowej, na budzenie się w pewnych przynajmniej kołach inteligencji litewskiej zmysłu państwowego.

Daleko jeszcze oczywiście politykom litewskim do zrozumienia i przejęcia się ideą historyczną W. Ks. Litewskiego, która w całej swej okazałości nie ma zresztą wogóle zbyt licznych wyznawców i zwolenników, poza garstką zdeklarowanych krajowców, którzy ją przechowują troskliwie na podobieństwo starożytnego Znicza. Ale, mimo wszystkie swe ujemne cechy, nacjonalizm litewski sprawił to, że ziemia litewska nie uległa losowi ziemi białoruskiej, że pań-

reczeni Eustafiej, za prawosławnuju wieru, i położen u Nikoły w Wilnie, s srodnikami swoimi Antonijem, Iwanom, iże takoże postradasza za wieru”. Ta krótka zapiska posłużyła prawdopodobnie za źródło dla dalszej grupy latopisów: Sofijskiego i Woskresieńskiego, które ją rozszerzyły i zmodyfikowały. Natomiast kroniki ruskie wcześniejsze nie podają o tem wiadomości. A przecież kroniki nowogrodzkie dostarczają całego szeregu niezmiernie cennych relacji o Litwie XIV w. Czyżby latopisy nowogrodzkie mogły nie utrwalić takiego zdarzenia jak śmierć trzech męczenników? Jeżeli przypuścić, że wiadomość o męczeństwie nie dotarła do sąsiedniego Nowogrodu, to jakim sposobem otrzymać ją mogli kronikarze dalekiej Moskwy w półtora wieku później, zwłaszcza, że fakt ten nie został zanotowany przez żadne współczesne źródło lokalne? Z powyższych danych prof. Chodyncki wyciąga wniosek, że nie mamy tu do czynienia z faktami, lecz z fikcją literacką, z wytworem fantazji kronikarza, któremu chodziło o przedstawienie władców Litwy, jako przelewających krew prawowiernych chrześcijan. W epoce natężonej walki o Ruś Litewską mógł to być bardzo poważny

argument przeciwko ostatniemu Jagiellonowi, potomkowi Gedyminowiczów.

Z powodu braku źródeł trudno jest zbadać, co posłużyło za materiał do wytworzenia tej legendy. Prof. Chodyncki przypuszcza, że podobnie jak wiadomość o zabójstwie dwóch franciszkanów w czasach Gedymina stała się źródłem legendy o 14 męczennikach za panowania Olgierda, tak i tu znajdująca się w latopisach ruskich wiadomość (zresztą również podejrzana) o skazaniu na śmierć przez Jagiełłę dwóch Litwinów za wyznawanie prawosławia mogła dać podstawę do stworzenia legendy o męczeństwie za Olgierda. Pozostaje trudnem do wytłumaczenia, skąd zostały zaczerpnięte imiona męczenników oraz co znaczy nie zrozumiały wyraz *Krublec*, który według Narbutta ma stanowić nazwę urzędu ziemskiego. Prof. Chodyncki nie przywiązuje jednak większej wagi do tych szczegółów. Dziejopisarstwo średniowieczne — powiada — nie robiło sobie pod tym względem zbyt dużo ceremonji. Długosz „dorobił” imiona kilku biskupów śląskich, a późniejsze źródła franciszkańskie wyliczały kilkudziesięciu rzekomo zamordowanych w Wilnie franciszkanów. Czyż więc kronikarze moskiewscy nie mogli wytworzyć

stwowość litewska, chociaż w spaczonyj formie, wywalczyła sobie prawo obywatelstwa w stosunkach międzynarodowych, że imię Litwy nie zniknęło z mapy Europy.

I jeżeli, jak zapewnia p. Testis w „Kurjerze Wil.” „idea państwowa W. Ks. Litewskiego niechybnie zostanie i rozwijać się będzie”, to komu to należy zawdzięczać? Chybaż nie tym przedstawicielom miejscowego społeczeństwa polskiego, którzy na posiedzeniu t. zw. Sejmu Wileńskiego w d. 20 lutego 1922 r. składali uroczystą deklarację, że „ziemia Wileńska stanowi bez warunków i zastrzeżeń nierozdzielną część Rzeczypospolitej Polskiej”?

Błędna droga i jej efekt.

Chętnie zamieszczamy nadesłany nam artykuł poniższy, będący głosem uczciwego i rozumnego publicysty warszawskiego, mimo, iż wychodzimy zasadniczo z innego założenia. niż autor. Trudno oczywiście żądać od publicystów warszawskich, by stali na stanowisku krajowym i podzielali nasz punkt widzenia. Ale mamy prawo wymagać, by w traktowaniu naszych spraw kierowali się dobrą wolą i znajomością rzeczy. Jak stwierdza autor, prasa warszawska nie odpowiada tym właśnie dwóm kardynalnym warunkom. Tem większą wartość posiada nacechowane dużą odwagą cywilną wystąpienie p. Benedykta Hertza.

Piszę pod wrażeniem wyroku w sprawie „Hramady”.

Krytykować wyroków nie wolno. Ale wolno mi chyba powiedzieć, jakie wrażenia we mnie on zbudził. Całą duszą jestem dziś po stronie oskarżonych. Jeżeli byłem zawsze sympatykiem ruchu białoruskiego (jak, zresztą, każdego wysiłku, zmierzającego do uprzystępnienia masom kultury); jeżeli przed wojną jeszcze nieraz wyrażałem uznanie dla działal-

ności p. p. Łuckiewiczów, Własowa i inn. — o tyle teraz gotów byłbym, gdybym posiadał odpowiednie kwalifikacje, czynem osobistym poprzeć ich pracę i wraz z nimi brać za nią odpowiedzialność

A czyniłbym to, przyznając, tyleż ze współczucia dla białoruskiego ludu, co z troski o przyszłość państwa polskiego.

Czytałem niedawno bardzo piękny, bardzo rozumny artykuł w „Kurjerze Wileńskim”; autor zwracał w nim uwagę na konieczność odróżniania w akcji „Hramady” dążeń kulturalno narodowych od wywołującej je agitacji bolszewickiej. Był to głos wołający na puszczy, groch rzucający o ścianę. I nic dziwnego. W oczach nacjonalizmu polskiego, białoruski ruch narodowy nie jest niczem lepszy od bolszewizmu (a ściślej mówiąc, od dywersyjnych wicherów Rosji na terenie Rzeczypospolitej).

Ślepotą!

A ta nacjonalistyczna ślepotą jest dziś, niestety, tak rozpowszechniona, że często decyduje o czynach ludzi, mających myśleć tylko kategoriami państwowymi. Nie orientują się oni w tem, iż odrodzenie ludu białoruskiego jest koniecznością dziejową; koniecznością, z którą walka, skazana z góry na przegrana, jest tylko stratą czasu, energii, pieniędzy — a co najważniejsze — stratą obywateli. Tak! Bo czy można liczyć na lojalność i przywiązanie do państwa ludu, którego rozwojowi narodowemu rzuca się kamienie pod nogi?

W chwili obecnej niema już żadnych podstaw do przypuszczania, że emancypacja narodowa Białorusinów zatrzyma się lub cofnie. Od biedy, można było na to rachować przed wojną, kiedy olbrzymie masy żyły pod sugestją wszechpotęgi caratu. Ale dziś? Dziś, kiedy Sowiety właśnie wygrywają przeciw nam tę sprawę; dziś, kiedy w Mińsku nietylko nie hamuje się, ale przyspiesza ewolucję ruchu — wprost nie chce się wierzyć, że istnieją jeszcze manjacy, którym się zdaje, że zjawisko to da się zażegnać i że będzie można przejść nad niem do porządku dziennego.

I do czego to prowadzi?

Prowadzi do tego, że Piemontem wyzwolenia

rzecz imion owych męczenników? W ten sposób w celach polityczno religijnych powstała legenda o męczeństwie 3 Litwinów za wiarę prawosławną

Kanonizacja ich nastąpiła dopiero w XVI w. na soborze moskiewskim w r. 1547. Jest to więc kult, który powstał w Moskwie, a nie w W. Ks. Litewskim. W czasie kanonizacji męczennicy litewscy nie posiadali swoich żywotów. Kiedy powstał pierwszy żywot dokładnie określić niepodobna. W kronice Hustyńskiej, pochodzącej z XVII wieku, a doprowadzonej do r. 1597 jest wzmianka o istnieniu przed tą datą żywotów świętych Jana, Antoniego i Eustachego. Żywot można odtworzyć po części ze wzmianek porzucanych u pisarzy unickich i katolickich.

Dubowicz pod r. 1328 podaje wiadomość o zamordowaniu „trzech dworzan Wielkiego Xiążęcia, który dla wiary św. umęczeni są na dębie powieszonych, na tym miejscu, gdzie teraz jest Cerkiew św. Trójcy Zakonników św. Bazylego”. Autor, jak sam wyznaje, podał to, co „się w kronice Moskiewskiej znajduje, chociaż ten kronikarz na łacinniki nie był łaskawy”. Jaka to była kronika, trudno dociec. W każdym razie nie była to znane, wyżej wymienione łacinniki Jermoliński, Sofijski i Woskresieński, ponie-

waż te podają jako datę śmierci rok 1348 oraz jako miejsce pogrzebania męczenników cerkiew św. Mikołaja.

W kilka lat po ukazaniu się książki Dubowicza, Kojalowicz w „w Miscellaneach” zaliczył również tych męczenników do świętych Kościoła unickiego. Na początku swego dzieła podaje on patronów W. Ks. Litewskiego obydwu obżędów. Wśród nich *Ex ritu Graeco* wymienieni są także *sancti Joannes, Antonius, Eustachius martyres*. Znajdujemy tu nowe, nieznanne wiadomości. Jak zwykle, im dalej od źródła pierwotnego, tem obfitsze zjawiają się szczegóły. Kojalowicz wymienia imiona pogańskie wszystkich trzech świętych Kukley (zamiast Kruhlec), Mihley, Niżyło, podaje między innymi, że zostali ochrzczeni a Nestorio Christiano, Prezbytero, że zostali powieszzeni w r. 1328 a pogrzebani w kościele św. Trójcy. Podkreślić należy zmianę wersji o miejscu pogrzebania męczenników. Kroniki XVI w. podawały cerkiew Mikołaja, pisarze XVII w. — kościół św. Trójcy. Ta ostatnia wersja przechowała się i u następnych pisarzy. Wogóle zaznaczyć trzeba, że życiorys podany u Kojalowicza stał się prototypem wszystkich innych wersji; powsta-

narodowego Białorusinów będzie ostatecznie Białoruś sowiecka, że w następstwie ujawni się ciążenie ku Mińszczyźnie Białorusinów polskich, a w rezultacie przy pierwszym starciu z Rosją armja nasza nie będzie miała gruntu pod nogami.

* * *

Wiem, że dla większości czytelników „Przeglądu” nic nowego nie mówię; być może, iż dla niektórych mój punkt widzenia jest obojętny, ale „Przegląd Wil.” jest jedynym organem, w którym o sprawach „kresowych” prawdę pisać można, niezależnie od kneblów partyjnych.

Nie wiem jacy sędziowie ferovali wyrok w procesie „Hramady”: czy byli to ludzie miejscowi, czy też „galicjoki z Kongresuwy”, jak nazywają poznańscy wędrowni kulturregerów — ale jestem przekonany, że bezwzględne potraktowanie oskarżonych, ścisłe trzymanie się litery prawa musi mieć związek z powszechną w całej Polsce niezajomością spraw Litwy i Białorusi. Niechęć do ich poznawania jest poprostu zdumiewająca. Niema w Warszawie literalnie ani jednego pisma, któreby zgodziło się umieścić artykuł, przedstawiający rzeczy w oświetleniu istotnym. Już nie mówię o t. zw. prasie „narodowej”, która albo ślizga się po wierzchu życia (j. np. „Kurjer Warszawski”), albo uprawia zawodowo wywracanie kota ogonem. Nawet organy postępowe, demokratyczne, nie wyłączając „Robotnika”, nie kwapią się z rozwiewaniem bajek i legend, stanowiących wiadomości przeciętnego Polaka o Litwie

A legendy te utrwalają rozmaite wydawnictwa niby „naukowe”. Niedawno w oknie pewnej księgarni widziałem mapę etnograficzną „Kresów”. Cała Wileńszczyzna jest tu zanotowana jednolicie kolorem, oznaczającym ludność polską. Barwa ta wykracza poza granice państwa i obejmuje Kowno. Natomiast obszar polskiej Białorusi niema barwy jednolitej, ale paski, co znaczy, że ludność jest tu mieszana, tylko z przewagą Białorusinów. Powierzchnie sądząc, autor zalicza wszystkich katolików do Polaków. I tak też przeciętny warszawianin rzecz tę sobie wyobraża Zresztą „Białoruś”, „Białorusini” —

są to tutaj terminy zupełnie świeże, żadnych jeszcze nie budzące wyobrażeń. Ot, nowa jakaś intryga bolszewicka. Nieco już więcej się wie o Litwie i Litwinach. Ale i to odniedawna. Ongi traktowano Litwinów, jako najlepszych Polaków, „tylko że ciągną”. Język litewski — to był język polski ze specjalnym akcentem i rusycyzmami. Dopiero w ostatnich czasach dotarła do szerokich mas wiadomość, że Litwini mają swój własny, odrębny język. Mimo to, jeszcze kilka miesięcy temu pewien znany publicysta (który nawet z pewnem ryzykiem do Kowna pojechał) zaliczył Litwę do... Słowiańszczyzny.

Te brednie i złudzenia pielęgnują i gorliwie popierają redakcje warszawskie. Nic też dziwnego, że nikt nie zastanawia się, czy dobrze czyni, przyjmując stanowisko np. nauczyciela ludowego w Wileńszczyźnie. Przecież to Polska — taka sama, jak Mazowsze lub Kujawy... Znam osobę, która przez szereg lat była w Warszawie nauczycielką szkół powszechnych. Nie zawahała się ona ani chwili, gdy jej zaproponowano miejsce kierowniczkę szkoły ludowej w Wileńszczyźnie.

— A czy umiesz po białorusku! — spytałem. Zdziwiła się, wrzuciła ramionami.

— Goco? — odrzekła — przecież to wieś katolicka.

Istotnie, dostała się do wsi, w której wszyscy mówili o sobie, że są Polakami. Dziwiła ją tylko, że ci Polacy w chatkach, między sobą mówią gwara, której ona nie rozumie. Najgorsze jednak to, że wciągu paru lat zmienił się nastrój owych „Polaków”. O ile dawniej rwali się do Warszawy, o tyle teraz są do niej zrażeni i coraz głośniejszą mówią o swojej odrębności.

Biedna nauczycielka nic na to poradzić nie może. Poczekajmy jeszcze kilka lat, a znajdzie się ona w nielada kłopotcie, gdy uświadomienie postąpi trochę naprzód i rodzice zażądadą nauki w domowym, a nie odświętnym języku dziatwy.

I co ma począć nieszczęsna w przewidywaniu tej ewentualności? Powrót do Warszawy trudny, prawie niemożliwy. Miejsce już zajęte. Dla ratowania więc swego bytu, przyłącza się do szeregu bez-

wały jeszcze rozmaite amplifikacje jednakże zasadnicze ramy zostały ustalone.

Ostateczne ukształtowanie się życiorysu nastąpiło w *Acta Sanctorum* Bolandystów, na podstawie materiału, dostarczonego przez słynnego poetę jezuitę Macieja Sarbiewskiego, a zaświadczonego podpisem i pieczęcią przez Jerzego Tyszkiewicza, sufragana wileńskiego. Życiorys, zamieszczony w *Acta Sanctorum* a stanowiący zamplifikowaną relację Kojalowicza był najobszerniejszy i najbardziej wykonany. Z tego źródła czerpali późniejsi hagiografowie, zarówno unicy i katolicycy*), jak nawet prawosławni. Nie mógł prof. Chodynicki zbadać, czy w najstarszym zbiorze żywotów Makarija są umieszczeni męczennicy litewscy. Jedynym dostępnym dlań zbiorem żywotów świętych były *Czetti-Minie* Dymitra Rostow-

skiego (1651—1709). Otóż porównanie tekstu żywotów Dymitra Rostowskiego z *Aktami Bolandystów* wykazuje ściśle podobieństwo pomiędzy temi dwoma dziełami, co zostało uwidocznione w dodatku do rozprawy prof. Chodynickiego, gdzie zostały podane równoległe obok siebie teksty: łaciński z „*Acta Sanctorum*” i rosyjski z „*Czetti-Minie*”. Zresztą nauka rosyjska ustaliła, że Dymitr Rostowski, jako wychowaniec Kijowsko Mohylańskiej Akademii korzystał podczas pisania Żywotów z *Aktów Bolandystów* i miał przed sobą też i tom (kwiecień), w którym były umieszczone żywoty męczenników wileńskich. Tak więc Kojalowicz pośrednio stał się źródłem oficjalnej hagiografii Cerkwi prawosławnej

Sprawa wskrzeszenia kultu trzech męczenników wypłynęła na początku XIX w. Inicjatorami byli mniisi prawosławni klasztoru ś. Ducha w Wilnie. Jeden z nich Herman, po powrocie w r. 1814 z zagranicy zaczął rozpowszechniać wieści o znalezieniu ciał trzech męczenników, do czego przyczynił się rzekomo list, odnaleziony przezeń w archiwum Carogrodzkiem i zawierający wskazówki o przeniesieniu ciał męczenników z klasztoru św. Trójcy (po oddaniu go bazylijanom) do klasztoru św. Ducha Archimandryta

*) Pro. Chodynicki zaznacza, że w żadnej z bibliotek wileńskich nie mógł znaleźć kalendarza Poszakowskiego, w którym ten wspomina o męczennikach litewskich, wobec czego był zmuszony poprzestać na relacji Stebelskiego. W zbiorach piszących znajduje się „Kalendarz polityczny i historyczny na R. P. 1738... przez X. J. Poszakowskiego”, w którym pod dniem 3 marca zamieszczona jest notatka o powieszeniu w r. 1328 trzech Litwinów „pokojowych” Olgierda.

względnych wrogów białoruszczyzny i chętnie widzi w niej tylko agitację bolszewicką, ileż istotnie agitacja ta nie próżnuje i wyszukuje każdy moment niezadowolenia ludności.

*

Najazd na Litwę „kulturtregerów” polskich niezbyt przyczynia się do rozpowszechniania w Polsce prawdziwych wiadomości o tym kraju. Ale zdawałoby się, że ruch w przeciwnym kierunku mógłby tu stanowić pewne remedium. Boć przecież widzimy nie tylko przenoszenie Polaków na „kresy”, ale również dość liczne osiadanie kresowców nad Wisłą i Wartą. Widzimy ich też wśród ministrów, posłów, redaktorów. Okazuje się jednak, że to nic a nic nie skutkuje. Kresowcy, mający głos w Warszawie, są to albo stare żubry, zupełnie nie orientujący się w społecznych zjawiskach społecznych i szczerze utożsamiający ruch białoruski z bolszewizmem, albo też znany w Wilnie typ (skądinąd bardzo piękny i szlachetny) polskich patryotów, dla których byłoby ciężką tragedją uświadomienie sobie, że ich polskość znajduje się pod znakiem zapytania, że ich nazwiska litewskie i białoruskie każą domyślać się pochodzenia innego, a co za tem idzie — zobowiązują do bacniejszego zainteresowania się dolą ludu, z którego wyszli, zwłaszcza, że wśród niego dalej mieszkają i pracują. Sam doskonale wiem, jak trudno czegoś podobnego od człowieka wymagać. Każdy sercem najbliższy jest temu narodowi, którego kultura urabiała go od dzieciństwa.

Dlatego też mało liczyć można na wpływowych „kresowców”, by pod nakazem jakichkolwiek sentymentów należycie oddziałali na kierunek polskiej polityki kresowej.

Zamiast tedy odwoływać się do uczuć, należy całą moc uderzyć do rozumu, poruszyć sumienia interesem państwa. Przecież ten interes powinien wszystkim obywatelom być jednakowo drogi. Przecież tu chodzi o bezpieczeństwo i całość granic Rzeczypospolitej. Przecież tylko ślepy i głuchy nie pojmie, że Polska, mająca blisko 40% ludności niepolskiej nie może być państwem nacjonalistycznym, że musi popierać szczerze dążenia narodowo-kulturalne swoich

monasteru zwrócił się wówczas do władz z prośbą o pozwolenie uroczystego ogłoszenia o znalezieniu relikwii i rozpoczęcia modłów publicznych. Władze rosyjskie zarówno miejscowe, jak centralne w Petersburgu odniosły się do tego projektu dość niechętnie i dopiero po długich zabiegach w r. 1826 biskupi miński i czernihowski obejrżeli ciała męczenników i uznali je za relikwie. Odbyło się to jednak jako uroczystość czysto kościelna, bez współdziałania przedstawicieli rządu.

Na nowe tory popchnął dopiero całą sprawę metropolita Siemaszko, który zabiegał usilnie o to, by kultowi trzech świętych litewskich nadać jaknajwiększy rozgłos i rozpowszechnienie. W r. 1851 dn. 14 kwietnia odbyło się pierwsze uroczyste nabożeństwo w nowej kaplicy, urządzonej w podziemiach klasztoru św. Ducha. Podczas nabożeństwa metr. Siemaszko wygłosił kazanie, z którego wyraźnie przebijają pobudki wskrzeszenia kultu świętych. „Oto, mówił metropolita — prawie przed samymi oczami naszymi, nad bramą naszego pod Bożą pieczęą znajdującego się grodu, stoi jakby na straży *ruski prawosławny obraz Matki Bożej*, obecnie już nie nasz. Prawosławni, wy wiecie, z jakim nabożeństwem,

t zw. mniejszości — przedewszystkiem zaś mniejszości terytorjalnych, które przy obecnym stanie rzeczy stać się mogą łatwo objektem obcych wpływów i podstępnej opieki.

Nie tłumić, nie zwalczać nam ruch białoruski! Przeciwnie, popierać go winniśmy. Nie w Mińsku kwitnąć powinna białoruska oświata, lecz w Wilnie. W tem Wilnie, gdzie pielegnować ją można dla niej samej, a nie w celu robienia z niej przynęty dla obcych masom chłopskim nauk komunistycznych. Pod względem społecznym lud białoruski absolutnie by się zadowolił uczciwie przeprowadzoną reformą rolną w granicach zakreślonych (niestety, dotąd tylko na papierze) przez ustawy Rzeczypospolitej.

Wówczas żadna „Hramada” nie byłaby dla Polski niebezpieczna, a procesy hromadowców nie stwarzałyby wrażeń (a można je już odnaleźć w prasie zagranicznej), jakoby racją bytu Polski na Białorusi był tylko bagno.

Benedykt Hertz.

Z mego notatnika.

Testament Reytana.

Bodaj jedno tylko „Słowo” zamieściło obszernie sprawozdanie z uroczystości odsłonięcia tablicy pamiątkowej ku czci Tadeusza Reytana, ufundowanej przez stryjecznych prawników w rodzinie jego gnieździe Hroszówce w dawnym i obecnym województwie Nowogródzkim. Hołd, złożony pamięci jednego z najgorętszych ent zjastów chyłcej się już do upadku szlacheckiej Rzeczypospolitej nie wywołał szerszego zainteresowania w społeczeństwie polskim. I czyż można się dziwić obojętności ogółu, skoro w najbliższej rodzinie pamięć o głośnym przodku nie była widocznie przechowywana ze zbytnim pietyzmem, bo oto na odsłoniętej obecnie tablicy czytamy między innymi następujące wysoce charakterystyczne słowa: „miejsce spoczynku nieznane”. A więc nawet w rodzinie nie dochowała się tradycja,

z jaką gorliwością zwraca się do niego cała tutejsza ludność chrześcijańska, najbardziej bliska naszemu sercu, najwięcej zbliżona do nas wiarą, ale, niestety, nie żyjąca z nami w jedności cerkiewnej. Czyż źródłem tego nabożeństwa i tej żarliwości nie jest słabe wspomnienie czasów odległych i krew ich praocjów tętniąca w ich żyłach? Czyż w obecnym błogosławionem uczczeniu świętych relikwii palec Boży nie wskazuje naszym braciom, różniącym się z nami w wierze, że *prawosławna krew męczeńska pierwsza* zrosiła kraj tutejszy i stołeczny gród jego, że kraj ten to starodawny dobytek Rusi prawosławnej?”.

Tak oto powołana do życia dla celów polityczno-religijnych legenda o trzech męczennikach wileńskich trwała, przechodziła rozmaite koleje, aż wreszcie odzyskała swe pierwotne przeznaczenie w zmienionych warunkach politycznych. Analiza krytyczna prof. Chodynickiego zadała jej cios stanowczy i obaliła w sposób niezbity jej autentyczność.

K. W.

gdzie zostały pochowane szczątki tego nieugiętego patrioty polskiego, którego postać stała się dla szeregu pokoleń symbolem najczystszej i najidealniejszej miłości ojczyzny!

Bo też nie idealne pobudki uczczenia pamięci wybitnego obywatela, który w dobie ogólnego upadku moralnego narodu uratował honor imienia polskiego, kierowały, jak się zdaje, inicjatorami uroczystości. Chodziło im raczej o demonstrację, o jeszcze jeden protest w sprawach polityki aktualnej. Świadczą o tem końcowe wyrazy, wyryte na tablicy: „w 7-mą rocznicę ratyfikacji Traktatu Ryskiego” oraz wygłoszone przy tej sposobności liczne przemówienia.

Organizatorzy i uczestnicy tej uroczystości są najgłębiej przeświadczeni o swem bilskiem powinowactwie duchowym z Tadeuszem Reytanem i uważają, że ich protest przeciwko Traktatowi Ryskiemu ma ten sam walor moralny, co protest pośła nowogródzkiego na Sejm z r. 1773 przeciwko traktatowi rozbiorowemu.

Zapominają o tej wielkiej różnicy, jaka zachodzi pomiędzy ówczesnymi stosunkami społeczno-politycznymi, a obecnymi. Wtedy naród i państwo były reprezentowane przez jeden tylko stan szlachecki. Rzeczpospolita Polska była traktowana jako wspólne dziedzictwo szlachty polskiej. Tadeusz Reytan protestując przeciwko oderwaniu wschodnich połaci Rzpltej był więc wyrazicielem interesów swej klasy, pośrednio zaś identyfikowanego z nią narodu polskiego. Gorące umiłowanie przezeń sprawy publicznej, wyjątkowa odwaga cywilna i czystość charakteru uczyniły zeń bohatera narodowego.

Dziś sytuacja przedstawia się zgoła inaczej. Protest przeciwko Traktatowi Ryskiemu nie jest wyrazem sumienia narodowego bo naród polski w osobach przedstawicieli najliczniejszych swych ugrupowań podpisał traktat dobrowolnie i bez żadnego przymusu zewnętrznego. Protest nie grozi jego uczestnikom żadnymi przykreimi konsekwencjami ani represjami. Najważniejsza wszakże różnica polega na tem, że obecnie szlachta polska nie reprezentuje już ani państwa, ani kraju, ani jego ludności, to też przeciwko traktatowi Ryskiemu ma prawo moralne protestować nie garść obszarńków, wyzutych ze swych dóbr ziemskich, lecz jedynie przedstawicielstwo narodu białoruskiego, którego terytorjum zostało bezceremonjalnie i nawet bez zachowania jakichkolwiek pozorów przyzwoitości podzielone między dwóch sąsiadów.

Sukcesorami więc i egzekutorami testamentu moralnego Tadeusza Reytana są dziś nle p.p. Obiezierscy, Czapscy i Grabowscy, lecz p.p. Taraszkiewicz, Łuckiewicz, ks. Stankiewicz i inni patrioci białoruscy, którzy, nie obawiając się przemocy, zgłaszają protest przeciwko podziałowi swej ojczyzny.

Cichy dramat.

Trafił mi do rąk list, pisany w początku maja przez jednego z podsądnych w procesie „Hramady” z więzienia do swego dawnego znajomego zamieszkałego niegdyś w pow. Wołkowyskim.

List ten jest tak wymowny i tyle rzuca światła na osobę rzekomego komunisty, że żałuję, iż nie mogę przytoczyć go w całości. Poprzestać muszę na jednym fragmencie, mającym znaczenie ogólniejsze. Oto, co pisze (w przekładzie) między innymi ten niebezpieczny wyrotowiec.

„Dawno, dawno już widzieliśmy się, dawno rozmawialiśmy, dawno pisaliśmy do siebie. Z tych cza-

sów pozostało mi niezatarte wspomnienie. Od czasu likwidacji szkoły łopienickiej przeżywałem często bardzo ciężkie chwile. Trudno było przeboleć ten cios. Teraz za to, że jestem świadomym Białorusinem siedzę na Łukiszkach od 20 listopada ub. r., przedtem siedziałem w więzieniu Wołkowyskim. No, ale dosyć o tem? Jak życie? Czy myślicie kiedy przyjechać do Łopienicy?...

Antoni Siemaszko, wybrany na wójta w naszej gminie, został aresztowany i skazany jako bolszewik na cztery lata ciężkiego więzienia. Wprawdzie sąd apelacyjny w r. 1927 uniewinnił go zupełnie, ale posiadawszy w więzieniu, stracił zdrowie, krótko chorował i we wrześniu zmarł. Szkoda go, był to dzielny człowiek...

Moi rodzice jeszcze żyją, ale teraz po mojem uwięzieniu ciężko im samym dawać radę. Cóż robić? „Trzeba żyć, jak nabieżyć”. Ja się czuję dobrze zarówno pod względem fizycznym, jak moralnym. Już się zbliża koniec procesu, Mam nadzieję, że zostanę uniewinniony, więc po 15 maja proszę pisać do domu... Dalej nasępują szczegóły charakteru całkiem osobistego.

Wymienione w liście nazwiska i fakty wymagają komentarzy.

Łopienica jest to wioska w pow. Wołkowyskim. Tu została założona w r. 1919 szkoła białoruska staraniem piszącego ów list i wspomnianego w liście Siemaszki przy poparciu ówczesnego proboszcza. Nauczycielka W. Krawcewiczówna, która skończyła białoruskie kursy nauczycielskie w Wilnie, w niedługim czasie została aresztowana i osadzona w Wołkowysku. Tam wprawdzie niebawem wypuszczono ją na wolność, ale zobowiązano meldować się co drugi dzień w policji. Ten warunek uniemożliwił jej powrót do Łopienicy, a że w Wołkowysku nie miała z czego żyć, więc skorzystawszy z okazji, umknęła do rodzinnego Grodna i od tego czasu wszelki ślad o niej zaginął. Ponieważ jednak założyciele szkoły opiekowali się nią w Wołkowysku, więc policja miała ich na oku i przy każdej sposobności czyniła im wstręty i systematycznie ich prześladowała. Dzięki temu trafili na ławę podsądnych i wójt Siemaszko, ostatecznie uniewinniony w drugiej instancji i autor przytoczonego listu, przeświadczony o bliskim swem uwolnieniu, w rzeczywistości zaś skazany wyrokiem Sądu Okręgowego na cztery lata ciężkiego więzienia...

Możemy sobie wyobrazić, jaką tragedję w duszy swej przeżył ten oświatowiec białoruski, organista z fachu, zakładający wraz z księdzem szkołę w swej rodzinnej wiosce, wierzący w rychły do niej powrót, a zamiast tego z ponurą rozpaczą odjeżdżający pod silną eskortą do dalekich, nieznanych kamratów poznańskich czy świętokrzyskich...

Ileż takich cichych dramatów rozegrywa się na naszej nieszczęsnej ziemi?

Pieniacka natura.

P. Adam Niemojewski, redaktor „Myśli Niepodległej” jest typowym okazem dawnego szlachcica pieniacza, co to gotów był procesować się o skrawek łąki, o miedzę, o furę siana, o każde głupstwo, byle mieć satysfakcję wynalezienia jakiegoś *kruczka* prawnego i wystylizowania pozwu sądowego.

Polemika p. Niemojewskiego przypomina tedy mocno owe dawne repliki i dupliki palestranckie. Będzie więc dowodził z drobiazgową dokładnością, cechującą każdego zamilowanego w swym fachu kau-

zyperdę, że protest rządu polskiego przeciwko przyjazdowi powtórnemu gen. Chardigny do Wilna wy stosowany został w początku lutego 1922 r. gdy uchwała o wcieleniu Wileńszczyzny zapadła dopiero w d. 20 lutego, czyli że jeszcze za czasów istnienia formalnego Litwy Środkowej rząd polski występował na forum międzynarodowym w jej imieniu. Ależ tak, oczywiście! Jeszcze pierwszy prof. Askenazy brał udział w rokowaniach w Brukseli jako rzecznik interesów Polski, jawnie już wówczas identyfikowanych z interesami Litwy Środkowej. Ale to nie zmienia faktu, że pierwszy przyjazd gen. Chardigny na teren Litwy Środkowej nastąpił jeszcze wtedy, gdy rząd polski popierał fikcję jej samodzielności i nie mógł dla tego wywierać żadnego wpływu ani na zapoczątkowaną przez Ligę Narodów akcję pacyfikatorską ani też na skład wydelegowanej przez nią komisji. Czyli innemi słowy, „Przegląd Wil.“ miał rację zarzucając „Myśli Niepodległej“ megalomanję, bo jej twierdzenie: „zgodziliśmy się na przyjazd gen. Chardigny“ nie jest zgodne z prawdą historyczną.

Na tego rodzaju polemikę doprawdy szkoda czasu i atłasu, bo cóż to może obchodzić szeroki ogół czytelników, czy lepszą pamięć oraz większą zdolność do kazuistyki posiada redaktor „Myśli Niepodległej“ czy też redaktor „Przeglądu Wileńskiego“? Mógłbym bez trudności udowodnić, że zdanie z artykułu wstępnego w № 16 „Przeglądu Wil.“ z d. 11 października 1925 r. (które niewiedzieć czemu, tak mocno utkwiło w pamięci p. Niemojewskiego), brzmiące dosłownie: „Ale taka polityka wymaga ze strony Polski ofiar na rzecz Litwy, Białorusi i Ukrainy, do których nie jest ona zdolna“ — bynajmniej nie pozostaje w sprzeczności z ideologią krajową, propagowaną przez nasze pismo, bo w danym wypadku nie chodziło o formę koncesyj ze strony Polski, lecz o zasadniczą linię jej polityki wobec Rosji; nie widzę jednak celu w tej szermierce słów.

Dyskusja zasadnicza mogłaby przynieść pewną korzyść czytelnikom „Myśli Niepodległej“, słabo się orientującym w zagadnieniach, dotyczących ziem litewsko-białoruskich, a zwłaszcza w programie krajowców wileńskich, ale do takiej rzeczowej dyskusji „Myśl Niepodległa“ nie jest zdolna, lubując się jedynie w puszczaniu fajerwerków słownych, które oszłamiają niewybredną gawiedź, przepadającą za taniemi efektami, oślepiają ją, ale nic w głowach jej nie rozjaśniają. I czyż można poważnie dyskutować z pismem, które pisząc o biskupie Matulewiczu pozwala sobie na nieprzyzwoity wybrzyk, używając określenia „smutnej pamięci“?!

Licz.

KRONIKA

Nareszcie! Po kilkoletnich zabiegach i staraniach oraz bezustannych atakach ze strony demokratycznej prasy polskiej Ministerstwo Oświaty, zdecydowało się wreszcie wyznaczyć w tym roku komisję urzędową dla egzaminów maturalnych w gimnazjum białoruskim w Wilnie. O ile więc egzaminy będą uwieńczone pomyślnym wynikiem, po raz pierwszy maturalności gimnazjum białoruskiego będą mieli otwarty wstęp do miejscowego uniwersytetu i nie będą zmuszeni wędrować do Praги lub Mińska.

Nieścisle cyfry. Prasa polska stale zarzuca politykom litewskim posługiwanie się urojoną statystyką i operowanie fantastycznymi cyframi gdy mowa o liczebności ludności litewskiej. A tymczasem sama grzeszy jaskrawą tendencyjnością

oczywiście w sensie odwrotnym. I tak p. Cat wymienia cyfrą 600 głosów, oddanych na kandydata litewskiego podczas wyborów do wileńskiej Rady Miejskiej, gdy, jak wiadomo, lista litewska zgromadziła przeszło 1000 głosów. P. Okulicz znów na posiedzeniu Sejmowej Komisji Spraw Zagranicznych — jak donosi „Kurier Wil.“ — przytoczył głośliwą cyfrę 65 000 Litwinów, zamieszkałych w Wilnie, podczas gdy w rzeczywistości, jak dowodzi statystyka oficjalna, podaje liczby o wiele wyższe. A już najbardziej rażąca jest przytoczona przez tegoż p. Okulicza informacja o jakoby istniejących dwóch litewskich seminarjach nauczycielskich w Wileńszczyźnie, gdy świeżo dopiero T-wo „Kultura“ otrzymało koncesję na otwarcie nowego seminarjum, wzamian utrzymywanego dawniej przez T-wo „Ryta“, które zostało zamknięte na jesieni r. u. Takie nieścisłości pożytku sprawie nie przynoszą a wywołują w społeczeństwie litewskim zrozumiałe podrażnienie.

Jaja czy kamienie? W prasie polskiej, między innymi w „Dzienniku Wil.“ podawana była wiadomość o obrzuceniu jajami przez grupę studentów litewskich wagonu, w którym delegacja polska odjeżdżała z Kowna. Natomiast p. Okulicz w Sejmowej Komisji Spraw Zagranicznych oświadczył, że studenci pożegnali odjeżdżającą delegację polską kamieniami, przyczem policja jakoby zachowywała się bezczynnie. Wiadomość ta wydaje się mało prawdopodobna, bo po pierwsze ciskanie kamieniami mogło uszkodzić wagon, a więc własność państwową litewską, powtóre zaś mogło nawet skaleczyć któregoś z uczestników delegacji, co by już musiało być pożytkowane do zamach na ich życie. Dziwna rzecz, że w takim razie polskie ministerjum spraw zagranicznych nie zareagowało na tak agresywną demonstrację za pomocą odpowiedniej noty i że po takim niegrzecznym, a nawet prowokacyjnym zachowaniu się władz litewskich uznano za możliwe przyjąć uprzejmie delegację litewską w Warszawie, nie czy iac najmniejszej aluzji do pojętnych występów na dworcu kowieńskim. A może nie było ani jaj ani kamieni i całą historję z awanturą na dworcu należy zaliczyć do kategorii tego rodzaju autentycznych wydarzeń, co głośny protest nauczycieli polskich, internowanych w Wornjach lub świeża afera wykrycia rzekomej akcji szpiegowsko-dywersyjnej na pograniczu litewskim, która to wiadomość została w sposób kategoryczny zdementowana przez wileńskie „Utro“?

Słuszny wniosek. Już kiedyś, z powodu głośnego incydentu z dyr. Ostrowskim, którego prowadzono przez miasto w kajdankach ręcznych, skutego razem z jakimś więźniem kryminalnym, wyrażaliśmy swe oburzenie z powodu stosowania tych barbarzyńskich, poniżających godność ludzką sposobów transportowania więźniów wozami, a politycznych w szczególności. Głos nasz oczywiście przebrzmiał bez echa i Liga obrony praw człowieka nie uważała za stosowne rozpocząć jakiejś akcji w tej sprawie.

Obecnie dopiero Klub Białoruski złożył w Sejmie odpowiedni wniosek, do którego pobuiką zapewne był nieprawdopodobny fakt, że senator Rahula był transportowany w kajdankach, czego oczywiście nie można wytłumaczyć niczem innym, jak chęcią dokuczenia więźniowi.

Odpowiedzi Redakcji.

Ks. B. Gapanowiczowi. Artykułu nadesłanego nie możemy zamieścić ze względu na nieparlamentarne wyrażenia, użyte w nim pod adresem autora art. „Nieświadomość czy perfidja?“. Nigdy nie odmawiamy prawa zabrania głosu na szpaltach naszego pisma osobom zainteresowanym, o ile wyjaśnienie jest utrzymane w tonie rzeczowym i pozbawione jest akcentów drażniących. Pozatem artykuł zawiera bezpodstawne i najzupełniej mylne informacje co do osoby autora, występującego pod pseudonimem D. Marenyca. Nie jest nim ani ks. T., ani wogóle nikt z pośród duchowieństwa. Autor jest człowiekiem najzupełniej świeckim, a nawet, co dziwniejsze, noszącym uniform wojskowy.

Ks. Makow'owi. Artykuł nie do druku ze względów wyżej wyluszczonej.